

Pamiętniki i wspomnienia internowanego

CZĘŚĆ PIERWSZA

I - NOCNA WIZYTA

Mroźna zimowa noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Budzi mnie ostry dzwonek przy drzwiach wejściowych. Podchodzi do nich 16 - letni syn Wojtek, który bardzo czujnie spał tej nocy ponieważ rano miał jechać z Niezależnym Ruchem Harcerskim na zajęcia terenowe w okolice Kazimierza.

- Tato, to do ciebie jakiś pan, oznajmił Wojtek. Podszedłem do drzwi, spojrzałem przez judasza a na klatce schodowej stało tłuste i obleśne indywiduum.

- Czy pan Wardawy? - odezwało się to z pod sterzcących rudawych wąsów. Potwierdziłem, że tak.

- Proszę otworzyć, mamy do pana interes.

- Jaki interes? O tej porze? W środku nocy? Przyjdź pan po szóstej to pogadamy o tych interesach. Chwila ciszy, po tym znowu dzwonek, ten za drzwiami, powiedział że jest z milicji i ma bardzo ważną sprawę, jeżeli nie otworzę to będzie musiał drzwi wywalić. Na to stwierdzenie grubasa - otworzyłem zamek, wtedy mój nocny gość „rozmnożył” się i do mieszkania wparowało jeszcze dwóch innych, którzy schowali się na schodach za windą, tak że nie widziałem ich, patrząc poprzednio przez judasza. Wpadli z takim rozpędem, że ledwo utrzymali się na nogach, tracąc równowagę. Oczywiście taki sposób wejścia do domu nieznanym mi osobnikom nic dobrego nie wróżył, ale mnie mocno zdziwił i przestraszył.

Zażądali dowodu osobistego, pokazując w biegu swoje legitymacje służbowe, na które, będąc mocno zdenerwowany, nawet nie spojrzałem. Dlatego do tej pory nie wiem, kto personalnie złożył mi tą zbójcecką wizytę. Okazany dowód odzyskałem dopiero przy wyjściu z kryminału. Na pewno do domu wtargnęło trzech osobników. Jeden mundurowy z belkami na pagonach oraz dwóch cywilnych esbeków. Drugi gruby, znany mi już zza drzwi oraz trzeci, chudy również z wąsami. Obydwaj cywile mieli na sobie charakterystyczne, czarne milicyjne kurtki.

Po sprawdzeniu w dowodzie, że ja to właśnie ja, kazano mi się szybko ubierać i iść z nimi nie wiadomo gdzie, po co i na jak długo. Oświadczyłem im, że jestem chory i dopiero co wróciłem z sanatorium, oraz że przebywam na zwolnieniu lekarskim. Nie zrobiło to na nich większego wrażenia, kategorycznie żądali, abym się szybko ubierał, bo nie mają czasu. Wszystko wyjaśni się na komendzie MO dokąd mamy się udać. Pytam się jeszcze raz, na jak długo mnie zabierają - stwierdzili że najwyżej na godzinę. Wobec tego ubrałem się szybko i niekompletnie. Zegar wskazywał trzecią nad ranem. Chciałem się jeszcze w domu wysuszyć. Pozwolono mi, ale ten mundurowy stanął w drzwiach ubikacji i cały czas obserwował mnie, bojąc się abym w kiblu gdzieś nie przepadł.

Jeszcze w czasie mojego ubierania, starali się mnie popędzać, abym szybciej to robił, bo nie mają czasu na moje guzdranie. Ten mundurowy pytał mnie, czy nie mam w domu jakichś podejrzanych materiałów, takich jak niezależne wydawnictwa, ulotki itp. Stwierdziłem, że nie. Wtedy zaczął szukać w bibliotece, natknął się na „Tygodnik Solidarność” ale stwierdził że to chyba wydawnictwo legalne.

Utwierdzony w przekonaniu, że jadę tylko na komendę, po to aby złożyć jakieś wyjaśnienia (nie poinformowano mnie jakie i na jaki temat), nie wziąłem ze sobą dosłownie nic - ani przyborów toaletowych, ani ciepłej bielizny, ani też ciepłych skarpet i to był mój błąd, że uwierzyłem ubekom. Jedynie wciągnąłem spodnie, oraz cienki sweter bez koszuli, na to jesionkę i w takim to niekompletnym stroju udałem się z moimi opiekunami na dół, gdzie czekało już na mnie milicyjne auto z czwartym osobnikiem za kierownicą.

Milicyjny Polonez ruszył dość ostro z piskiem opon, a ja wtłoczony na tylne siedzenie między dwóch ubeków zacząłem zastanawiać się co to jest, dlaczego wyrwano mnie w środku nocy ze snu. Przy schodzeniu z trzeciego piętra na dół, moi porywacze zastanawiali się głośno czy założyć mi kajdany, czy też nie. Wyjechaliśmy z ulicy Kleniewskich w Obywatelską, następnie w Jaczewskiego po to aby skrócić w Północną - dopiero wtedy uwierzyłem, że wiozą mnie na komendę. Przez całą dość krótką drogę, mimo moich usilnych pytań, nie zostałem poinformowany po co mnie zabrano. Na Północnej zauważyłem zmasowany ruch samochodów nie tylko milicyjnych - cały parking i podwórze było zastawione różnymi pojazdami także „mój” Polonez ledwie się przecisnął pod wejście do komendy.

II - KOMENDA NA PÓŁNOCNEJ

Przed wejściem do Komendy, znajdowało się mnóstwo tajniaków i mundurowych jak również przesławnych ZOMO-li w charakterystycznych ubrankach marengo. Tam moi opiekunowie, nie odstępując mnie na krok, poprowadzili mnie na drugie piętro, gdzie było bardzo wielu ludzi. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie fakt, że dzieje się coś niezwykłego, zakrojonego na szeroką skalę.

Wprowadzony zostałem do jednego z jasno oświetlonych pomieszczeń. Moi aniołkowie, przekazali mój dowód razem ze mną nowym opiekunom, a sami wycofali się na korytarz. W tym pokoju, kadrowa pracownica SB oświadczyła, że w związku z wprowadzeniem stanu wojennego na terenie całego kraju - jestem zatrzymany jako człowiek niebezpieczny dla obecnej sytuacji. Zapytała mnie co o tym sądzę - stwierdziłem krótko, że jest to dla mnie szok! Następnie zostałem rozbrojony z długopisu i kluczy od domu. Były to jedyne rzeczy jakie posiadałem przy sobie. Po tym zostałem dodatkowo przeszukany, czy nie posiadam przedmiotów godnych ich uwagi.

Z kolei podsunęto mi jakiś kwit do podpisania, na którym litery latały mi przed oczami, tak że nie mogłem nic przeczytać, chyba ze strachu, czy też ze zdenerwowania. Ten papier zapewne traktował o moim zagrożeniu i niebezpieczeństwie dla PRL, wobec czego muszę być zatrzymany.

Charakterystyczną rzeczą była tam szara koperta, w której było dość pokaźne moje milicyjne dossier. Kiedy tyle tego nazbierali, licho ich wie.

Czując się chorym poprosiłem o zbadanie przez lekarza, które rzeczywiście mi udostępniono. Liczyłem po cichu, że moja choroba oddali w czasie, przynajmniej warunkowe zamknięcie mnie w kryminale.

W pokoju, w którym przyjmował lekarz zastałem jeszcze pielęgniarkę i dwóch ubeków. Lekarz nie zadał sobie trudu aby mnie zbadać, a tylko na podstawie wywiadu, stwierdził że mój stan zdrowotny pozwala na zatrzymanie. Na takie oświadczenie lekarskie nie mogłem się zgodzić, ale cóż - lekarz stwierdził, że jest bardzo młodym i niedoświadczonym lekarzem, że nie ma rozeznania, a posadzili go po to, aby upozorować opiekę lekarską nad zatrzymanymi. Wówczas poprosiłem, aby mi zmierzył ciśnienie tętnicze krwi, ponieważ na chorobę nadciśnieniową cierpię od kilkunastu lat. Okazało się, że zatrudniony lekarz nie posiada ciśnieniomierza. Zaczął gdzieś wydzwaniać aby mu ten aparat dostarczono - chyba do izby przyjęć w szpitalu MSW.

Długo czekałem, czekałem, a lekarz co chwilę dzwonił, ale bez skutku. Nagle telefon-że aparat już dowieziono, tylko wiozący funkcjonariusz nie może trafić do pokoju gdzie mnie badano. W międzyczasie pielęgniarka zlitowała się nade mną i podała mi pół szklanki wody ku

niezadowoleniu przebywających tam ubeków, raczących się herbatą. Była to bardzo miła, ale i bardzo smutna dziewczyna. Poprosiłem ją o to, aby powiadomiła moje dzieci, gdzie mają szukać pieniędzy w domu na codzienne wydatki. Obiecała, ale ich nie poinformowała. To jeszcze jeden dowód, że esbekom nie wolno wierzyć.

W tym czasie kiedy ja piłem wodę, otworzyły się drzwi i zamiast oczekiwanego człowieka z manometrem, wpadła ta pani, która opiekowała się mną na Północnej i kazała koniecznie podpisać jakiś papier, gdzie można było się doczytać, że jestem zatrzymany i mam zostać umieszczony w kryminale we Włodawie. Do tej pory nie wiem po jaką cholere podpisałem to, wtedy już nie czekali na mnie, ani na lekarza który zmierzyłby mi ciśnienie. W tym czasie weszli do pokoju ludzie, którzy wieźli gdzieś z miasta manometr i lekarz bardzo chciał mi to ciśnienie zmierzyć.

Wtedy włączył się do akcji ubek z końską gębą, rzadkimi, żółtymi od machorki zębami i kategorycznie stwierdził, że już nie może dłużej czekać, zabierając mnie do oczekującej na podwórku więźniarki, która miała nas przewieźć z Lublina do Włodawy. Psiakrew, tyle oczekiwania i w ostatniej chwili, kiedy aparat do pomiaru ciśnienia już był na miejscu to dowódca akcji zatrzymania nie pozwolił lekarzowi aby mi tego dokonał.

Prosiłem esbeków, aby ze względu na moją chorobę jak również fakt, że w domu zostały same dzieci bez żadnej opieki (żona przebywała na kursie w Bydgoszczy), nie zatrzymywali mnie, ale bez skutku. Zaznajomiona już ze mną ubeczka, stwierdziła że ona ma również dzieci, a przez „Solidarność” musi w nocy ciężko pracować, tzn. nas zatrzymywać. Po czym zaczęła mówić, że nie wiadomo czy moje dzieci, nie pójda urznąć głów jej dzieciom. Tak to ubeczka została do nas ustawiona, że w każdym solidarnościowcu i w jego rodzinie, widziała tylko zbrodniarzy zdolnych do ucinania im głów, a nie ludzi, którzy działali legalnie, zgodnie z konstytucją PRL, oraz związkowym statutem, którego- jak i woli członków- przestrzegaliśmy na co dzień.

III - KIERUNEK WŁODAWA

Z drugiego piętra w asyście tajniaków zostałem sprowadzony na dół do tzw. „suki” milicyjnej, która była już prawie zapełniona. Drzwi do więźniarki były otwarte, obok stało kilku mundurowych z karabinami, którzy na tym etapie zatrzymania mieli się nami opiekować. Wchodząc do suki, zostałem przywitany przez kolegów z „Solidarności”, którzy już wcześniej się w niej znaleźli. Zrobiło mi się raźniej na duszy, wreszcie swoi, życzliwi i przychylni! Nie warczą, jak ci tam na górze, ale uśmiechają się życzliwie i współczują.

Zastałem tam min. Ceśka Niezgodę - kolejarza, Ryśka Jankowskiego z Zarządu Regionu, Ryśka Kucia ze Świdnika, Janusza Karpińskiego i Jana Kozaka - obydwaj z ZR, Zbyszka Puczka z WSK Świdnik, Leszka Pagę i Wieśka Kamińskiego z UMCS, Andrzeja Józwiakowskiego z Akademii Medycznej, Antka Czopa i Jurka Gregorowicza z Lubartowa, Józka Łomocia i Ryśka Kuśmierczyka z FŁT w Kraśniku, a także Janka Bochrę z LZNS-u.

Przed samym odjazdem, został doprowadzony rzecznik prasowy regionu - Wojtek Samoliński, zwany Szmulem. Razem wpakowali nas szesnastu do budy. Było cholernie ciasno i niewygodnie. Po ponownym przeliczeniu nas, weszło jeszcze do więźniarki trzech uzbrojonych w karabiny i pałki funkcjonariuszy MO, którzy towarzyszyli nam do samej Włodawy. Trzymali oni przed sobą karabiny, chyba dla dodania sobie odwagi i naszego zastraszenia. Ci dzielni, uzbrojeni chłopcy, zamknęli nas wewnątrz więźniarki zakratowanymi drzwiami, a sami zostali w przedsionku.

Spis „lokatorów” więźniarki:

1. Cesiek Niezgodą, 2. Broniek Wardawy, 3. Wojtek Samoliński, 4. Andrzej Józwiakowski, 5. Antek Czop, 6. Rysiek Kuć, 7. Jan Kozak, 8. Janek Bochrą, 9. Rysiek Jankowski, 10. Janusz Karpiński, 11. Jurek Gregorowicz, 12. Leszek Paga, 13. Rysiek Kuśmierczyk, 14. Józek Łomoc, 15. Zbyszek Puczek, 16. Wiesiek Kamiński.

Nasz pojazd był policyjną więźniarką obitą blachą. Jedynie w czołowej ścianie znajdowały się otworki wentylacyjne, przez które Janek Bochrą, stając na palcach usiłował coś nieco zobaczyć i dać nam namiar, gdzie się znajdujemy. Jako ciekawostkę podam tu pewien fakt, który dość wesoło został odebrany wśród aresztantów. Chodzi o to, że te „kibitki” zostały wyposażone w Lubelskich Zakładach Naprawczych Samochodów, tj. w zakładach gdzie pracował Janek.

Około godziny szóstej rano ruszyliśmy spod komendy na Północnej w kierunku Włodawy. Nastąpiła między nami szybka wymiana zdań na temat kiedy, kogo i jak zdjęli. Odbywało to się w różny sposób. Najwięcej szczęścia miał Andrzej Józwiakowski, którego zabierał z domu znajomy ubek i poinformował go o ewentualnym dłuższym pobycie. W związku z tym jako jedyny, zabrał ze sobą walizkę a w niej niezbędne rzeczy osobiste: ciepłą bieliznę, przybory toaletowe, a nawet kanapki. Najgorzej trafiło się Ryśkowi Jankowskiemu, którego zabrali z Zarządu Regionu na Królewskiej. Był on bez palta, szalika i czapki wobec tego w samochodzie go nieco ubraliśmy. Od Andrzeja dostał skarpety i szalik, od innych sweter, że jako tako mógł się osłonić od zimna. Wojtka Samolińskiego też zdjęli z Królewskiej, dołożyli mu parę kopniaków za opór wobec władzy, a także oberwał fangę w nos za niesubordynację. Biedny Szmul, siedział smutny i poobijany. Janka Kozaka brali z domu, przy okazji zakuli w kajdanki z rękami do tyłu. Ceśkowi Niezgodzie wylamali drzwi wejściowe do domu, bo nie chciał im otworzyć.

Należy stwierdzić, że w drodze do Włodawy, żadnego z nas nie zakuto w kajdanki. Grupa działaczy z Puław a wśród nich Irek Ostrokólski - redaktor biuletynu „Ziemia Puławska”, był całą drogę skuty, zarówno z Puław do Lublina jak i z Lublina do Włodawy. Kiedy się nieco rozejrzeliśmy po ledwo oświetlonym naszym jadącym „salonie”, zatrzymaliśmy się na przejeździe kolejowym przy torach linii Lublin - Łuków na ulicy Turystycznej. Po odgłosie lokomotywy spalinowej, upewniłem się gdzie jesteśmy.

Dalsza podróż przebiegała dość monotonię, kilkakrotnie nasz pojazd zatrzymywał się dla nabrania orientacji w terenie. Należy zauważyć, że przed i za nami jechały samochody osobowe, które nas eskortowały od Lublina do samej Włodawy. Obsługa naszej „suki” była prawdopodobnie obca, bo często się zatrzymywali, pytając konwojujących o drogę. Stąd prosty wniosek, że byli to chłopcy spoza Lublina, bo jak widać nie znali drogi. Konwojował nas samochodem osobowym ubol Franek, który był początkowo opiekunem internowanych we Włodawie.

Całą drogę nurtowała nas jedna myśl - dokąd nas wiozą? Nie wiedzieliśmy, czy we Włodawie jest kryminal, który będzie nam służył za lokum, przez najbliższe godziny, dni, tygodnie, a potem miesiące. Nie byliśmy pewni, czy zakwaterują nas przed, czy za Bugiem -gdzieś w Sowiech. Dyskutowaliśmy nad tym, czy na Bugu jest most drogowy, czy go nie ma - tak jak gdyby to miało jakieś istotne znaczenie. A przecież zbudowanie mostu prowizorycznego w warunkach wojennych to żaden problem. Dopiero się różniej na duszy nam zrobiło, gdy do dyskusji włączył się Wiesiek Kamiński i autorytatywnie stwierdził, że na Bugu nie ma mostu. Wreszcie nam ulżyło, bo Wiesiek musiał wiedzieć, ponieważ pochodzi z Włodawy.

Po drodze również dokonaliśmy podziału zasobów pieniężnych, o tak na wszelki przypadek. Dojeżdżając do celu, każdy z nas posiadał parę złotych. Ja i kilku innych pożyczyło po całym tysiącu od Zbyszka Puczka, który akurat posiadał portfel i pieniądze z wypłaty którą otrzymał dziesiątego. Była to bardzo dobra sprawa, bo kto miał pieniądze, które musieliśmy zdeponować, to mógł korzystać z wypiski w kantynie więziennej.

Zastanawialiśmy się również, po jaką andromedę ta cała wojna z narodem, komu to potrzebne i po co?

Wniosek nasuwał się jeden, była to wojna z „Solidarnością”, naszym wspaniałym, ciągle rosnącym związkiem zawodowym. Potrzebna ona była tylko ekipie rządzącej, kurczowo trzymającej się władzy - właścicielom PRL. Żaden z nas nie wierzył, że to już koniec naszej działalności. Wierzyliśmy, że to początek trudnej dalszej walki o „Solidarność”, która od chwili powstania była solą w oku dla prosowieckiej władzy. Godzina ósma z minutami, nasz konwój dociera do miejsca przeznaczenia. Wita nas zakład karny we Włodawie - kryminal dla ludzi z NSZZ „Solidarność”.

IV - WŁODAWSKI KRYMINAŁ

Pierwsze wrażenie - szczekanie psów, będących na żołdzie MSW, trzask otwieranych bram, których było dwie: zewnętrzna i wewnętrzna.

Po otwarciu więźniarki, miłe dla nas zaskoczenie: wrzask służby więziennej - oddać broń, to wreszcie nie na nas krzyczą, tylko na milicjantów- naszych uzbrojonych opiekunów, którym natychmiast po wjeździe na pierwsze więzienne podwórko, odebrano karabiny, którymi tak dzielnie potrzęsali przez całą drogę. Ba! Nawet , jak któryś z nas wychodził do WC to „stójkowy” poprawiał karabin i wtykał nogę między drzwi ubikacji a próg, tak że fizjologiczne sprawy odbywały się w asyście funkcjonariuszy.

Po tym miłym dla nas incydencie, „suka” ustawiła się tyłem do drzwi wejściowych więzienia i kolejno w odstępach mniej więcej minutowych zaczęto nas wyczytywać: imię, nazwisko, data urodzenia, imię ojca. zawód itp.- już po raz trzeci w tym dniu. Następnie każdy wyczytany, przechodził wzdłuż ustawionego ze strażników więziennych szpaleru , na pierwsze piętro gdzie znajdowały się przeznaczone dla nas cele. Przechodząc przez ten szpaler, zauważyłem jak strażnicy z ironicznym uśmiechem, na swych zacnych gębach stwierdzali „o kurwa, czołówka Solidarności przyjechała”.

Na pierwszym piętrze, kierowano nas do celi Nr. 68. Po każdym wejściu delikwenta do celi, drzwi z łoskotem zatrząskiwał klawisz, osiem razy, aż ten pokój - celę zapełniono. Znalazło się tam ośmiu nieszczęśliwców: Bochra, Karpiński, Kozak, Kuśmierczyk, Łomoć, Niezgoda, Samoliński zwany Szmulem i Wardawy. Po kilku minutach dołączył do nas Józwiakowski jako dziewiąty. Ponieważ w celi były cztery piętrowe łóżka to Andrzejowi przyszło, pierwszą noc w więzieniu przespać na stole przykręconym do podłogi. Dopiero na drugi dzień zabrano Karpińskiego i cela została wypełniona zgodnie z normą.

Rozglądamy się z wielkim zainteresowaniem po nowym lokalu, widzimy okno prawie weneckie, tylko że zakratowane, drzwi drewniane okute blachą, w których zamontowano trzy zamki i dużego judasza, zasłanianego z korytarza. W celi znajdował się jeszcze kibel i umywalka. Zastaliśmy ogólny brud i niesamowity bajzel. Cztery gołe piętrowe metalowe łóżka, porozlewana woda, brudna umywalka i jeszcze gorszy kibel. W ścianie szafki, wyłożone kiedyś gazetami, ściany odrapane, na podłodze odpadające płytki PCV. Jednym słowem- syf i malaria.

Ale nic to, w tym cały szkopał, że jest okropnie zimno, temperatura tak na oko, około dziesięciu stopni. Ten niezbyt ciekawy stan, zastaliśmy po naszych poprzednikach, prawdziwych kryminalistach, których w pośpiechu wywieziono do innych więzień gdzieś w Polsce. Temperatura

wprawdzie dodatnia, ale nie pozwala na siedzenie, z resztą nie ma jak siedzieć. Stoimy, trochę łązimy, oczywiście w kapotach na sobie, zajmujemy różne śmieszne pozycje, opierając się o metalowe, gołe łóżka. Usiłujemy siadać na stole, a nawet na kiblu. Mimo tak urozmaiconego dnia, czas płynie bardzo powoli.

Gdzieś z oddali, dobiega do naszej celi, dudniący jakby ze studni, głos Jaruzela, który zapewne mówi o wprowadzeniu stanu wojennego na terenie całego kraju. Szkoda, że tego nie słyszymy, głośnik w celi jest nieczynny. Generał przemawia z oddalonej o kilka cel świetlicy, tak że nic z tego nie można zrozumieć.

Po dwóch, a może trzech godzinach, zostajemy pojedynczo wzywani do spisania ewidencji. Tu od początku, podajemy swoje dane personalne. Przy okazji odebrano nam resztę niebezpiecznych przedmiotów, takich jak zegarki, obrączki, znaczki solidarnościowe, no i oczywiście pieniądze, o ile ktoś je miał. Mnie zabrano tylko zegarek, obrączkę i pożyczone tysiąc złotych, bo z kluczy i długopisu zostałem rozbrojony już w Lublinie, na Komendzie.

Kiedy wszyscy mieliśmy tą przyjemność za sobą, nagle we drzwiach zazgrzytał złowrogo zamek, na progu stanął opasły klawisz i oznajmił, że będzie wydawany więzienny ekwipunek do spania. Należało się udać z tym strażnikiem do magazynu na parterze gdzie te rzeczy dla nas były wydawane. W skład tego wchodziły: dwa koce, jeden stary, drugi podobno nowy, ale obydwa brudne i niemiłosiernie zakurzone, dwa prześcieradła, trzy materace, jeden zagłówek, jedna poduszka okropnie brudna i do tego z siana. Ten cały majdan, należało zatargać do celi na górę co było sztuką nie lada, tym bardziej że trzeba było to zabrać za jednym razem. Same materace ważyły ze trzydzieści kilogramów.

Wtedy już było wiadomo, że potrzymają nas, nieco dłużej niż 48 godzin. W międzyczasie rozegraliśmy w celi, swego rodzaju totolotek-jak długo będziemy kiblować? Wyszło różnie, od dwóch tygodni do trzech lat.

Okolo godziny czternastej, wydano nam dalsze wyposażenie, tym razem do jedzenia. Zastawa ta składała się z miski, talerza, kubka i łyżki. To wszystko wykonane było z aluminium. Noża, oczywiście ze względu na nasze bezpieczeństwo nie było. Śniadanie z obiadem dostaliśmy dopiero, gdzieś okolo godziny szesnastej. Mimo, że to był pierwszy posiłek tego dnia to nikt go prawie nie jadł z braku apetytu oraz, dlatego że był bardzo zimny.

Te zapiski pisałem w więzieniu, następnie podczas widzenia przekazałem je żonie, która wyniosła je na zewnątrz. Dalsze moje pisanie zostało skonfiskowane, podczas cotygodniowych rewizji dokonywanych przez klawiszy. Zamieszczone poniżej rozdziały pisałem po wyjściu na upragnioną wolność. Mogą się w nich znajdować drobne nieścisłości co do miejsca i czasu.

CZĘŚĆ DRUGA

V - ROZKŁAD DNIA

Dzień więzienny zaczynał się o godzinie szóstej rano pobudką. Klawisze świecili światło, wyłącznikiem zamontowanym na zewnątrz celi. Do szóstej trzydzieści trwała poranna toaleta, podczas której ośmiu chłopów musiało się umyć w jednej umywalce, pod kranem, z którego leciała lodowata woda. Obok umywalki stał kibel, wykorzystywany przez nas w czasie krótszych i dłuższych posiedzeń na nim. WC i umywalka, umieszczone były po prawej stronie wejścia do celi. Były zupełnie nie oddzielone żadną ścianką od reszty pomieszczenia. To znaczy że wszystkie zapachy i widoczki związane z używaniem WC rozchodziły się po całej celi. Dopiero po dwóch tygodniach, pisząc odpowiedni raport do komendanta więzienia, otrzymaliśmy zgodę na wyfasowanie dodatkowego prześcieradła, z którego zrobiłem parawan zasłaniający ubikację.

Temperatura w celi poniżej 10 stopni, zimno jak cholera, po wielu interwencjach i awanturach, nieco się podniosła i wynosiła w zależności od zewnętrznej aury prawie 12 stopni.

O szóstej trzydzieści, odbywał się tzw. raport, to jest obchód więzienia przez oddziałowych i klawiszy. Polegał on na tym, że rano i wieczorem dokładnie nas liczono, czy nie daj Boże, któryś z aresztantów nie uciekł, lub się gdzieś nie zawieruszył. Podczas raportu, początkowo nie wiadomo było jak się zachować, stawiali nas na baczność, żeby lepiej im było liczyć. Jednak po pewnym czasie, udało się złamać służbę więzienną, która zaprzestała tych poniżających nas procedur.

O siódmej kalifaktorzy (tak się mówi w więzieniu na tych co roznoszą posiłki po celach) dostarczali śniadanie składające się przeważnie z paru kawałków czarnego jak ziemia chleba, „ósemki” margaryny i marmolady. Zastawa stołowa w postaci miski, talerza, łyżki i kubka bardzo dobrze nam służyła. Odczuwało się wyraźny brak noża. Chleb dostawaliśmy pokrojony, tylko że nie do końca i dalej trzeba go było rozrywać. Z taką aluminiową michą stawało się przy drzwiach w kolejce, gdzie kryminaliści - stali pensjonariusze więzienia, rozlewali i nakładali jedzenie. Od wielkiego święta, dostawaliśmy zupę mleczną na wodzie. Tylko z nazwy i trochę kolorem przypominała ona mleczną, w rzeczywistości było to mleko rozpuszczone w wodzie z rzadka pływającym w niej makaronem. Po śniadaniu odbywało się indywidualne mycie naczyń, co było już sztuką nie lada. Zimna woda wcale nie chciała myć tłustych misek, często używaliśmy mydła i gazet, przy pomocy których dało się dokonać tej prostej, a jednak skomplikowanej operacji.

Czas po śniadaniu był w zasadzie wolny, za wyjątkiem dyżurnego, do którego obowiązków należało sprzątnięcie całej celi. Dyżur, każdy z nas pełnił przez cały tydzień i nie było to zbyt

uciażliwe. Tu należy nadmienić, że w celi nie było nawet szczotki-zmiotki; kawałek szmaty musiał wystarczyć do zmywania podłogi. Z resztą w naszym interesie było, utrzymanie w celi jako takiej czystości i higieny.

O dwunastej trzydzieści był obiad, na który dostawaliśmy okropnie dużo, ale zimnego jadła. Micha zupy oraz ogromnie duże drugie danie: kopiasty talerz kartofli, lub kaszy polany niby jakimś gulaszem, lub sosem. Po obiedzie i koniecznym myciu naczyń, było dużo wolnego czasu, aż do kolacji o godzinie osiemnastej. Kolację dostawaliśmy podobną do śniadania.

O dwudziestej pierwszej następował obowiązkowy capstryk, tzn. wyłączanie światła przez klawiszy. Przed gaszeniem światła, oczywiście odbywał się regulaminowy raport z obowiązkowym liczeniem stanu załogi w celach. Doskonale pamiętam, jak zmuszała nas obsługa więzienia, do wyznaczenia starszego celi, do którego obowiązków należało podawanie stanu ilościowego więźniów w pomieszczeniu. Nie daliśmy się w to wrobić i klawisze musieli nas uczyć sami. Przed zgaszeniem światła, odbywała się jeszcze jedna wielka chryja, związana z tak zwaną wystawką lub kostką, różnie to nazywano. W trosce o to aby nikt w nocy nie uciekł, wystawialiśmy na korytarz długą ławę a na niej złożone ubranie, (podobno w regulaminową kostkę) po to, aby rano po pobudce, wnosić to z powrotem do celi.

VI - ADAPTACJA

Bardzo ważnym momentem w naszym więziennym życiu, była pomoc ze strony kryminalistów. Nawiązali oni bardzo szybko kontakt z internowanymi, roznosząc posiłki po celach więzienia. Uśmiechali się do nas, zagadywali - dodając nam wiary i otuchy. Zachowywali się zupełnie inaczej niż obsługa więzienia, która szczególnie w pierwszych dniach pobytu w pierdlu bardzo na nas warczała. Dziękowali za „Solidarność”, dzięki której, znacznie im się poprawiły warunki pobytu w kryminale. Zmalał bezmyślny rygor i zaczęto dostrzegać w nich ludzi, którzy trafili tu w celach resocjalizacji. Uczyli nas techniki przetrwania najtrudniejszych dni w naszym życiu. Przy ich pomocy, mieliśmy kontakt między celami. Uruchomili oni dość sprawną pocztę więzienną, dzięki której można się było zorientować, ilu i kto z nas siedzi. Sposób był prosty. Przekazywaliśmy wykaz nazwisk z każdej celi do „centrali” właśnie przy pomocy kryminalistów.

Poznanie techniki siedzenia w kryminale, pozwalało na szybką adaptację do nowych, nie znanych dla nas warunków więziennych. Im szybciej opanowano metodę siedzenia, tym łatwiej było znosić trudy pobytu, w tym szczególnym środowisku.

Najtrudniejszą rzeczą w więzieniu było to, aby wiedzieć jak się zachować, jak reagować na

otoczenie. Należało nabrać odpowiednich nawyków, nauczyć się więziennej gwary, tak zwanej „grypsery”. Gdy to już było opanowane, życie w kryminale, mimo więziennych murów i krat, stawało się znośne. W początkowym okresie, każdy zgrzyt zamka stawiał nas na nogi, wywoływał u niektórych nerwową reakcję. Później już było wiadomo, że dźwięk klucza lub stukot przy drzwiach oznacza: raport, wystawkę, wypiskę, lub wizytę u lekarza, czy też wezwanie na przesłuchanie.

Najdziwniejszym w tym wszystkim było to, że czas w kryminale nie dłużył się, ale upływał bardzo szybko, mimo tego, że nie było nic mądrego do roboty. Leżenie bykiem na więziennej pryczy było najważniejszym zajęciem. Od Nowego Roku do naszego kryminalnego krajobrazu weszły spacerunki i to na podwórku.

W poprzednich rozdziałach wspominałem o jedzeniu, na którego temat, trzeba obiektywnie stwierdzić, że pod względem objętościowym było tego bardzo dużo. Gorzej było ze smakiem, sposobem serwowania i kalorycznością. Kasza jęczmienna, na której wspomnienie, jeszcze dziś dostaję gęziej skórki, margaryna zwana tu „maryską”, czarny jak ziemia chleb z marmoladą (mimo że lubię razowiec, to tego chleba bez wstrętu nie dało się zjeść), to podstawowe produkty, którymi nas karmiono. Jadło należało zapijać ledwo słodką kawą lub stosownym napojem, co według regulaminu oznaczało wodę z kranu. Najgorsze było to, że nasza cęła znajdowała się na końcu korytarza i zanim doszli do niej kalifaktorzy z zarcieć, to wszystko było już diabelnie zimne. Większość z nas po prostu nie miała na to apetytu i częła normalny jadłowstręć do tych więziennych specyfików.

VII - ŚWIETLICA I BIBLIOTEKA

Po kilkunastu dniach pobytu we włodawskiej „twierdzy”, pozwolono brać nam udział- po paru z celi- w zajęciach świetlicowych, według opracowanego grafiku przez oficera kulturalno - oświatowego, czyli świetlicowego. Można było tam swobodnie i do woli rozmawiać, grać w Ping-Ponga, zabawiać się wymyślonymi grami i oglądać wojenną telewizję. Po raz pierwszy mieliśmy możliwość obejrzenia towarzyszy: Falską i jej kolegę Nowakowskiego w pięknych zielonych mundurach, którzy pod niebiosa wychwalali stan wojenny, wprowadzony przez ich mocodawców, przeciwko narodowi polskiemu.

W świetlicy, gdzie również odprawiano Msze Święte, internowani powiesili krzyż własnej roboty. Z tym wiąże się znamienity fakt, kiedy to komendant więzienia dał polecenie klawiszom, zdjęcia krzyża ze ściany, to oni jednak odmówili tego świętokradztwa dokonać. W tej sytuacji, wściekły szef sam wziął stołek, wlażł na niego i kiedy zaczął sięgać do krzyża, w tym momencie

spadł na ziemię łamiąc sobie prawą rękę. Stwierdziliśmy krótko, że to zasłużona kara Boska dotknęła dowódcę więzienia, który po tym wypadku paradował po kryminale z zagipsowaną ręką na temblaku, mimo że przebywał na zwolnieniu lekarskim.

Biblioteka była dostępna raz w tygodniu, bodajże w środy. Kolejno z celi wypuszczali po dwie, trzy osoby, które klawisz prowadził do biblioteki, gdzie wypożyczaliśmy sobie książki. Braliśmy po kilka książek, łamiąc tym samym regulamin, który przewidywał jedną książkę na tydzień, co przy naszym głodzie czytelniczym było absurdalnym przepisem. Kilka książek wypożyczonych, dawało racjonalne zajęcie przez cały tydzień. Były tam wcale dobre pozycje, między innymi „Pamiętniki” Romana Dmowskiego, „Kalendarze i klepsydry” Tadeusza Konwickiego, „ Spizowa brama” Tadeusza Brezy i wiele innych, których na wolności wielu z nas nie czytało.

VIII - SPACERY

Spacery należały do bardzo ważnych i najbardziej lubianych zajęć w naszym kryminalnym życiu, szczególnie ze względów zdrowotnych. Można było wreszcie oddychać pełną pierśią, wykonywać ćwiczenia gimnastyczne, a nawet biegać i skakać. Proszę sobie wyobrazić, że przez pierwsze dwa tygodnie spacery odbywały się wokół przytwierdzonego do podłogi stołu, którego obwód wynosił niecałe cztery metry. Każde okrążenie, zaznaczane było zapalką odkładaną na kupkę, po czym zliczaliśmy przebytą trasę, mnożąc odłożone zapalki przez długość obwodu stołu. Dawało to w sumie parę kilometrów dziennie. Zabawnym, wręcz śmiesznym był korowód złożony z kilku chłopów, którzy jeden za drugim, wędrowali wzdłuż obwodu stołu, tak że ostatni był za plecami pierwszego. I w ten sposób nawijaliśmy swoje kilometry, które były porcją ruchu, tak bardzo wskazaną w naszych szczególnych warunkach.

Pierwszy normalny spacer odbył się dopiero po Świętach Bożego Narodzenia. Było to ogromne przeżycie, oczekiwane od dawna przez siedzących w celach. Wreszcie można się było naprawdę rozruszać i odetchnąć świeżym nadbużańskim powietrzem. Spacery te odbywały się na więziennym podwórzu, w specjalnych okrągłych kojach ogrodzonych wysoką siatką, zwanych spacerownikami. Z wyjściem na spacer był związany cały rytuał. Klawisze wyprowadzali po cztery cele ludzi, najpierw na korytarz, gdzie nas formowano w dwójki (jak w przedszkolu) i dokładnie liczono, cały czas się przy tej rachubie mylili, zaczynając rachowanie od początku. Spacer miał trwać pół godziny, a na samo liczenie i wyjście traciło się około piętnastu minut, przez co sam spacer trwał zaledwie około dwudziestu minut.

Na podwórzu wybudowane były dwa specjalne spacerowniki w kształcie koła o średnicy mniej

więcej piętnastu metrów, które były ogrodzone pięciometrowym płotem z siatki. Spacerowaliśmy parami, zgodnie z regulaminem, wzdłuż obwodu koła. Nie wolno było rozmawiać, ale ten zakaz jak i większość innych był ciągle łamany, bo za każdym razem, mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Wymienialiśmy zdania i poglądy związane z aktualną sytuacją w kraju i na świecie, na temat walki WRON-y ze swoim narodem, prowadzonej przez czerwonych generałów, którzy byli na tyle bezczelni, że mienili się patriotami. Za te rozmowy karano nas w prosty sposób, skracając czas spaceru, zapędzali z powrotem do celi. Mimo tych restrykcji, spacerowanie często przemieniało się w patriotyczne manifestacje, na których śpiewaliśmy pieśni niekoniecznie kościelne. Słyszeć nas było nie tylko na terenie więzienia, ale echo niesło nasze głosy na całą Włodawę. Śpiewy te miały miejsce przy okazji wszelkich rocznic, czy też miesięcznic, na przykład każdego 13 - go. Po tych występach, traciło się prawo do spacerów na kilka dni, co nas wcale nie odstraszało od kontynuowania tych dobrych tradycji. Jednym z cięższych przestępstw popełnianych w czasie spacerów, było rozmawianie z ludźmi z sąsiedniego spacerownika. Aby temu zapobiec, władze więzienia znalazły na to sposób. Płot z siatki do wysokości dwóch metrów, został dodatkowo zabudowany blachą, aby utrudnić porozumienie się solidarnościowym przestępcom podczas spacerów.

Na spacerach więźniowie popisywali się zdolnościami nie tylko wokalnymi, ale i rzeźbiarskimi. Któregoś styczniowego śnieżnego dnia, ulepiono ponurego bałwana, który podobny był jak dwie krople wody do generała Jaruzelskiego. Miał na sobie żołnierski mundur z epoletami i generalską czapkę, a nawet czarne okulary. Prawdziwi więźniowie, którzy mieszkali na drugim piętrze i mieli okna na podwórko, zaczęli bić gromkie brawa; gdy zapytaliśmy ich, kogo przedstawia ten bałwan, odpowiedzieli bezbłędnie - Jaruzela!

Wydarzenie to, stało się głośne na cały kryminal. Przeprowadzono dochodzenie na okoliczność tego kto śmiało przedstawić tak ważną osobistość w postaci bałwana. Jak się wkrótce okazało, to ów bałwan nie cieszył się zbyt długim żywotem. Zaraz po zamknięciu nas w celi, jak widzieliśmy przez zakratowane okno, do spacerownika wpadło, chyba ze trzech rozjuszonych klawiszów i łopatami, tudzież buciorami, stratowali Bogu ducha winnego bałwana. A wielka szkoda i żal bo był bardzo dostojny i wymowny. Ale za ten nieczyny występ, ukarani zostaliśmy nie tylko my, ale i następna grupa, która po nas miała wyjść na spacer - straciła prawo do tego miłego i zdrowego obowiązku przez trzy dni.

IX - ŁAŻNIA I KĄPIELE

Jednym z najważniejszych dni w tygodniu był piątek. To jedyny dzień, w którym umożliwiono nam prawdziwą kąpiel. W tym dniu chodziliśmy zbiorowo do łaźni, po cztery cele na raz, gdzie wreszcie można było się porządnie umyć, po tygodniu oczekiwania na ten czas. Kierowały nami nie tylko względy higieniczno-zdrowotne, ale również możliwość długich i ciekawych rozmów.

Kąpiel wyglądała w ten sposób, że do zamykanego zakratowanego pomieszczenia z prysznicami, wchodziło kilku nagich chłopów, którzy z dziką rozkoszą poddawali się biczom wodnym z prysznicami. Wodą sterowali kryminaliści, którzy często zapominali się, puszczając zimną lub gorącą wodę, wywołując zrozumiwały popłoch wśród kąpiących. Nie posądzam ich o złośliwość ale faktycznie tak było. Po kąpeli, fasowaliśmy czystą bieliznę, koszulki i gacie, często za małe lub za obszerne, ale zawsze świeże i to było wspaniałe.

Byli wśród nas i tacy solidarnościowcy co jak ognia unikali kąpeli, na przykład Robert M. Prawie w każdy piątek chorował po to, aby nie pójść do łaźni i korzystać z jej dobrodziejstwa. Jak on żył bez kąpeli parę tygodni, trudno to sobie wyobrazić, tylko należy współczuć współmieszkańcom jego celi. Dotyczy to grupy puławskiej, bo ten człowiek mieszkał w jednej celi z nimi.

Spacery, łaźnia, biblioteka i świetlica poprawiały nasze humory, rozwijały naszą więzienną edukację, wzbogacały język, z grypserą włącznie. Byłoby prawie dobrze, gdyby nie mury więzienia, kraty w oknach, oraz zamknięte cele i tęsknota za najbliższymi. Nie byliśmy narażeni na sztykany stanu wojennego, mieliśmy dach nad głową, zapewniono nam wikt i opierunek. W celach temperatura podniosła się znacznie i wynosiła dwanaście stopni. Płacili nam, a raczej naszym rodzinom normalne pensje za nieświadczoną pracę, a my bykiem leżeliśmy; jednym słowem za nieróbstwo. Władze wojenne stać było na to, zresztą była to marginalna sprawa w stosunku do strat, jakie w naszym kraju spowodował stan wojenny.

X - KIPISZE CZYLI REWIZJE

Kipisze były stałym elementem, urozmaicającym pobyt w kiciu. Przeprowadzane były dwa rodzaje rewizji: osobiste i zbiorowe. Na ten czas, wyrzucali nas ze swojego do innego pomieszczenia, a w tym czasie w opróżnionej celi odbywał się kipsisz. Bebrowano i przewracano wszystko do góry nogami, przez pokój jakby tajfun przeszedł. Klawisze najdłużej szukali w łóżkach i zabierali wszystko co było niezgodne z regulaminem. Książki przemycane do więzienia, osobiste

zapiski i różne przedmioty w które zdążyliśmy się zaopatrzyć przy pomocy ludzi dobrej woli. Łupem służby więziennej, padały również nasze własne wyroby „artystyczne” - malunki, znaczki Solidarności, szachy czy różańce wykonane z chleba.

W przypadku rewizji osobistej, zabierano nas do większej sali, gdzie musieliśmy się rozbierać, a klawisze bezczelnie każdego obmacywali i wtykali łapy do nie swoich kieszeni, szukając nieregulaminowych rzeczy. Czasami udało im się zabrać, a to znaczki solidarności, a to łańcuszek z medalikiem, niekiedy długopis lub czysty papier do pisania. Te przedmioty przeważnie przepadały, chociaż po napisaniu raportu do komendanta czasami do nas wracały. Pamiętam jak jednej soboty, nasza cela podczas kipiszu, poniosła okropne straty. Wtedy nasi prześladowcy zabrali większość naszych osobistych notatek i zapisków, których nie dało się odzyskać. W tym czasie opętała nas mania pisania pamiętników, pisał prawie każdy, a najwięcej Andrzej Józwiakowski. W tym właśnie dniu zabrali mój dalszy ciąg zapisków, które starałem się wiernie odtworzyć po powrocie do domu.

Wśród strażników spotykało się różne typy, od najbardziej wściekłych do bardzo spokojnych i przyzwoitych. Był taki klawisz Bolek, który starał się nam na swój sposób pomagać. Dawał nam różne drobiazgi, a to zapałki, a to gazetę lub inne rzeczy, ułatwiające nasze życie. Podczas kipiszy i rewizji osobistych, markował swoje czynności, udawał że pracuje, aby nie narazić się swoim przełożonym. Jedną sytuację dobrze zapamiętałem, kiedy już bardzo dobrze zżyliśmy się z nim, to zwracaliśmy się do niego per „panie Bolku”, a nie obywatelu oddziałowy. Był bardzo z tego powodu szczęśliwy i zadowolony, ale błagał nas, żeby nie zwracać się do niego w ten sposób przy innych strażnikach, bo będzie miał kłopoty za zadawanie się z „Solidarnością”. Inny klawisz Michał, pozwalał czasami nieco dłużej pobyc na świetlicy, a raz nawet dał mi klucz od celi, z której zapomniałem zabrać okulary idąc na telewizję. O złych strażnikach nie chcę pisać, bo nie warto się nimi zajmować.

XI - MSZE ŚWIĘTE

Msze Święte były odprawiane w więzieniu za sprawą episkopatu już od drugiego dnia Świąt Bożego Narodzenia. Były one jednym z najważniejszych zdarzeń w naszym więziennym życiu. Na pierwszą Mszę przybył, jakiś nikomu nieznany ksiądz z Lublina, który od razu posądzony został o to, że jest współpracownikiem SB, a niektórzy twierdzili, że jest to przebrany ubek. Okazało to się daleką nieprawdą, bo był to kapelan z kościoła garnizonowego w Lublinie. Powiadomił nas o tym ksiądz biskup Pylak na kolejnym spotkaniu eucharystycznym, stwierdzając jednoznacznie, że był to autentyczny i prawdziwy ksiądz.

Pierwsza Msza Święta odprawiona była w świetlicy w dwóch grupach, ze względu na niewielką powierzchnię oraz dlatego, aby uniknąć dużego zgromadzenia więźniów w jednym miejscu. Strażnicy zadbali o to, aby nasza Msza nie przemieniła się w wiec. Dlatego też postawiono całą służbę więzienną w pogotowiu, pilnowało nas w czasie modlitwy ze dwudziestu klawiszy z komendantem i jego zastępcą na czele.

Podczas Mszy Świętej odbyła się nieco inna spowiedź niż normalnie. Po raz pierwszy w życiu spotkałem się z taką formą spowiadania. Była to spowiedź powszechna, która polegała na tym, że ksiądz wypowiadał typowe grzechy, a my je potwierdzaliśmy lub nie.

Do celebriansa nabraliśmy zaufania wtedy, kiedy zarządził „liczenie” tych więźniów, którzy nie mogą przystąpić do Komunii Świętej. Odbyło to się przez podniesienie rąk do góry. Wówczas doszliśmy do wniosku, że robi to po to, aby po ilości rozdanych komunikantów, zorientować się dokładnie ilu przebywa internowanych we Włodawie i ta wiadomość pójdzie w świat. Do liczby rozdanych opłatków dodał sobie ilość podniesionych rąk, tych co nie mogli przystąpić do komunii i miał stan więźniów w kryminale. Trzeba przyznać, że dość sprytnie to sobie wymyślił.

Następne Msze Święte odprawiane były na przemian, przez biskupów: lubelskiego i siedleckiego. W jedną niedzielę odprawiał biskup Pylak, a w następną biskup Mazur. Najwięcej więźniów na terenie włodawskiego kryminału było właśnie z diecezji lubelskiej i siedleckiej.

XII - PRZYCHODNIA WIĘZIENNA

Lekarz więzienny to bardzo dobry wynalazek, dzięki któremu czas za murami stawał się znośniejszym. Z samego rana, podczas raportu należało się zapisać na wizytę. Następnie po śniadaniu, w asyście uzbrojonych strażników schodziło się, poprzez okratowane korytarze na parter, gdzie umieszczona była przychodnia lekarska. Pod gabinetem lekarskim, oczekiwało się w kolejce na swoją wizytę. Ten czas nie był zmarnowany, bo każdy mógł rozmawiać i dyskutować z kolegami na różne ciekawe tematy.

Lekarz internista, okazał się jednym z niewielu ludzi zatrudnionych na etacie więziennym, z którym można było po ludzku porozmawiać nie tylko na tematy zdrowotne. Chętnie ordynował lekarstwa oraz przepisywał tak zwaną dietę, która polegała na tym, że zamiast czarnego chleba, dostawało się jasny. Reszta jedzenia była jednakowa, tylko że raz otrzymywało się danie lub zupełną dietetyczną, która na drugi dzień była dietą normalną i odwrotnie. Jeżeli jednego dnia barszcz stanowił dietę, to drugiego był normalnym pożywieniem, jeśli krupnik dzisiaj był normalną dietą to jutro uchodził za dietę i tak dalej.

Jeżeli ktoś był trochę chory i do tego dość sprytny, to nawet co drugi dzień mógł korzystać z wizyty lekarskiej, na którą wychodziło się legalnie z celi na godzinę lub więcej; i oto właśnie chodziło. Trzeba się tylko było zgłosić na porannym raporcie, pamiętając o tym, że limit wizyt jest ograniczony. Dlatego też u oddziałowego, należało zapisać się jak najwcześniej. Takie wyjście do lekarza, było na pewno lepsze niż siedzenie w zamkniętej celi. Dzięki lekarzowi, przekazywano na zewnątrz wiele cennych informacji, takich jak notatki więzienne, listy nie ocenzone przez władze więzienia itp.

W przychodni był jeszcze gabinet dentystyczny, z którego raczej nikt z internowanych nie korzystał, bo tam tylko wrywali zęby, a nie leczyli. Pomocnikami lekarza była pielęgniarka oraz dwaj więźniowie, bardzo sympatyczni chłopcy obsługujący kartotekę.

XIII - WIGILIJNY WIECZÓR

I tak pierwszą w życiu Wigilię, przyszło mi spędzić poza domem i to w warunkach więziennych. Przygotowywaliśmy się do tego wydarzenia, najlepiej jak tylko było można. Oplątek dotarł do nas w paczkach od rodzin pozostających na wolności. Świeczki dało się wyprodukować własnym sumptem, według wymyślonej przeze mnie recepty. Trochę smalcu, ociupinkę margaryny oraz większą ilość twardego sera, ściślej parafinowej otuliny, w którą ser jest zabezpieczony. To wszystko należało przetopić, następnie włożyć w tą masę knot i uformować świeczkę. Dymiło to jak nieszczęście, ale po kilku próbach udało się dobrać właściwą proporcję składników i świeczka stawała się przyjazna dla otoczenia.

Dań wigilijnych wymyślono dwanaście, zgodnie z tradycją. Cóż tam nie było: ryby, chleb czarny i biały, sery twarde i topione, zupy z więziennego wikt i oczywiście oplątek. Produkty te dostarczyły w paczkach nasze kochane rodziny. Oplątkiem dzieliliśmy się przy zapalonych świeczkach i mini choince, wykonanej z zielonych kawałków papieru, uzupełnionych strzępkami złotej i srebrnej folii, która trafiła do nas w darach. Przeżyliśmy ogromne wzruszenie, nawet największym twardzielom spocły się nieco oczy. Po tej uczcie wigilijnej bardzo długo kolędowaliśmy, wyczerpany został chyba cały repertuar znanych kolęd. Pamiętam jak podczas wieczornego raportu, chcieliśmy się również podzielić oplątkiem i złożyć życzenia klawiszom. Jednak oni kategorycznie odmówili, tłumacząc się tym że są na służbie.

XIV - WYPISKI

W więziennej nomenklaturze pod nazwą „wypiska”, kryła się możliwość dokonywania zakupów w kantynie. Jeśli ktoś miał zdeponowane w czasie zatrzymania pieniądze i dobrze się sprawował podczas pobytu w więzieniu to istniała możliwość robienia zakupów w kantynie. Zakupy te dokonywano na specjalny rewers, do którego wpisywało się pobrane w kantynie przedmioty i stąd nazwa „wypiska”. Lepsza byłaby nazwa „wpiska”, ale gorzej brzmi. Można tam było nabyć pastę i szczotkę do zębów, mydło „7-kwiatów”, proszki do prania, szorowania oraz największy przebój - więzienny rarytas -cebula! Natomiast, jeżeli ktoś podpadł- o co było nietrudno- to diabli brali prawo do wypiski, którą zawieszano na pewien czas danemu delikwentowi. Czas zakazu korzystania z kantyny, był ściśle związany z rodzajem „przestępstwa” i trwał od tygodnia do miesiąca.

Wypiski były rozliczane z pieniędzy, które zostały zarekwirowane w czasie zamykania nas do więzienia. Kto nie miał pieniędzy na „koncie”, ten nie miał prawa korzystać z dobrodziejstw płynących z kantyny. Jeżeli komuś był bardzo potrzebny jakiś zakup to mógł skorzystać z konta kolegi, który posiadał pieniądze w depozycie.

XV - KABARYNA I IZOLATKA

Kabaryna w gwarze więziennej to specjalna cela ścisłej izolacji i twardego łóża. Zasłużyli sobie na nią, tylko niektórzy bardziej aktywni pensjonariusze tego przybytku. Z naszej celi, Nr. 49 (do której nas przeniesiono tuż po Nowym Roku), trafił tam rzecznik prasowy Regionu Środkowo Wschodniego NSZZ „Solidarność”- Wojtek Samoliński, Szmulem przezywany. Pierwszy raz został posądzony o zorganizowanie protestu głodowego 13 - go stycznia w małą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Kabaryna to pojedyncza cela z podnoszonym na dzień łóżkiem i małym zablindowanym okienkiem. Blinda to z kolei skrzynia zasłaniająca okno, przez które widać tylko skrawek nieba. Światło w tej celi pali się bez przerwy dzień i noc, po to aby klawisze mogli „filować” przez judasza i sprawdzać co delikwent robi o każdej porze w ciągu całej doby.

Izolotka to izba chorych przeznaczona dla tych więźniów, którzy nie mają już siły nogami powłóczyć. Znajdowały się w niej cztery dość schludnie zaśnie łóżka, stojak do kroplówki z płynów infuzyjnych i inne niezbędne akcesoria medyczne. Obydwa te pomieszczenia miałem okazję poznać w czasie przesłuchań, a raczej rozmów z ubekami, które prowadzone były między innymi przez porucznika Sacewicza w wolnych aktualnie, tych właśnie pomieszczeniach .

XVI - PRZESŁUCHANIA I ROZMOWY

Według obowiązującego w więzieniu nazewnictwa, przesłuchania w zasadzie były rozmowami esbeków z internowanymi. Odbywały się one prawie codziennie z - dojeżdżającymi po to - ubekami z Lublina i innych województw ościennych: z Zamościa, Chełma, Siedlec i Białej Podlaskiej. Ludzie z tych województw siedzieli we Włodawie.

Każdy z nas miał na milicji swoich opiekunów „resortowych”. Ba, każda komisja zakładowa NSZZ „Solidarność” miała swoją specgrupę w komendach wojewódzkich MO, skąd wywodzili się nasi rozmówcy. Kolejarzami opiekowali się: major Augustowski i sierżant Sagan. Pierwszy, okropnie zapijaczony facet o fizjonomii siniaka i menela z Lubartowskiej. Drugi, dużo młodszy od tego pijaka podobny był do starego lisa. Podczas przesłuchań wzajemnie się uzupełniali. Rozmowy odbywały się na osobności, obowiązkowo dwóch uboli i jeden przesłuchiwany. Trwały one w zależności od humoru prowadzącego przesłuchanie, od pół godziny do trzech i więcej godzin, tak że często obiad przegadaliśmy, który w tym czasie kompletnie wystygł i nie nadawał się do spożycia. Ale oto wcale się nikt nie martwił, jadłeś to dobrze, nie jadłeś to jeszcze lepiej.

Rozmowy wyglądały mniej więcej w ten sposób, że jeden z ubeków zagadywał: „jak taki porządny człowiek, panie inżynierze trafił do więzienia, po cóż było mi się mieszać do polityki, kiedy miałem dobrą pracę, to zachciało mi się Solidarności. Po co było robić rewolucję, którą według nich miał przygotować nasz związek zawodowy”. Drugi zaczynał straszyć, że z kryminału szybko nie wyjdę, dopóty nie podpiszę tak zwanej lojalki, w której należało się wyrzec dalszego prowadzenia działalności związkowej.

Na każdej rozmowie byłem bardzo namawiany przez moich opiekunów do współpracy z nimi. Początkowo to bardzo mnie bawiło, wdawałem się w dyskusje i pytałem ich, ile na tym zarobię, co będzie należało do moich ewentualnych nowych obowiązków. Oni nie wiedząc, że z nich żartuję, mówili o jednorazowej zapłacie za każdą ważną wedle nich sprawę, o której doniosę. Jednak nie powiedzieli ile złotych konkretnie otrzymam. Na moje następne pytanie w jaki sposób i gdzie będę mógł przekazywać te wiadomości, odpowiadali że najlepiej w kawiarni lub jakiejś knajpie na mieście; spotkania te miałyby się odbywać oczywiście w godzinach pracy. Kolejne moje pytanie: „to co powiedzą na to moi zwierzchnicy, że zamiast pracować będę się szlajał po kawiarniach”. Zapewniali mnie, abym się o to nie martwił, oni już wszystko z moim dyrektorem załatwią, że będzie wszystko dobrze. Przy okazji stwierdzili, żebym nie miał większych obiekcji, bo na PKP co piąty kolejarz pracuje dla SB, czyli jest kapusiem.

Po czwartej czy piątej rozmowie, panowie esbecy doszli do przekonania, że mogę już podpisać kwestionariusz współpracy z SB. Twierdzili, że schowają go w sejfie na Komendzie Wojewódzkiej,

tak że nikt nie będzie o nim wiedział oprócz nas trzech. Wtedy już nie wytrzymałem i wybuchnąłem strasznym śmiechem, kategorycznie odmawiając podpisania tego ważnego dla nich kwitu.

Ubecy wpadli w szal, przez to, że ich ponad miesiąc zwodziłem, a ich cały wysiłek poszedł na marne. Nie przyszło im do ich zakutych rycerskich łbów, że po prostu sobie z nich zakpiłem. Zaczęli na mnie wrzeszczeć, że tak bardzo na mnie liczyli, a ja nie chcę sobie i im pomóc. Współpraca to się u nich pomocą nazywa! Widząc, że nie uda im się mnie przekonać, podstawili mi drugi kwit do podpisania, w którym miałem się zobowiązać wobec SB, że nikomu o tym nie powiem, iż zostałem namawiany do współpracy. Wtedy zacząłem się jeszcze dłużej śmiać, po czym powiedziałem, że ta propozycja jest już nieaktualna, bo już po naszej pierwszej rozmowie, na temat współpracy z nimi opowiedziałem w celi kolegom. Powiedziałem również, że informowałem swoją małżonkę na widzeniu, że esbecja proponuje mi „dodatkový zarobek” za donoszenie na kolegów. To znaczy że chcą zrobić ze mnie kapusia! Trzeba wtedy było widzieć ich głupawe miny. Dla dodania sobie animuszu, zapewnili mnie, że za to co im zrobiłem, długo sobie jeszcze posiedzę. I że znajdą na mnie odpowiedniego haka. W końcu wyciszyli się, i już tego dnia nie chcieli ze mną dłużej rozmawiać.

W zakresie moich usług dla SB, miały być doniesienia na kolegów i znajomych, którzy będą coś mówić, szczególnie na temat aktualnej sytuacji w kraju, co będzie się działo w zakładach pracy na PKP, o nastrojach wśród kolejarzy i innych mniej istotnych sprawach.

XVII - ODWIEDZINY NAJBLIŻSZYCH

Odwiedziny najbliższej rodziny były największą radością jaka mogła nas spotkać w więzieniu. Pierwszej wizyty doczekałem się już pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia. Przyjechała do mnie żona - były to pierwsze odwiedziny u internowanego na terenie włodawskiego kryminału. Jak ona tego dokonała, tego naprawdę nie wiem do dziś. Oczywiście o niczym nie wiedziałem, była to dla mnie ogromna niespodzianka. Leżę sobie spokojnie w celi na łóżku, aż tu nagle usłyszałem gwałtowny zgrzyt zamka w drzwiach, nie typowy o tej porze. Drzwi się otwierają a w nich staje strażnik, który przerywa mój błogi stan, powiadamiając mnie, że mam się ubierać do wyjścia. Nie wiedziałem co się dzieje, czy cieszyć się czy martwić, sam nie wiem. W najśmielszych oczekiwaniach, nawet nie pomyślałem o odwiedzinach mojej ślubnej w więzieniu.

Dopiero na podwórku, eskortujący klawisz raczył mnie powiadomić, że moja żona przyjechała w odwiedziny do Włodawy i idziemy na spotkanie z nią. Odwiedziny odbywały się w asyście

strażnika, który przyprowadził mnie na widzenie. Spotkanie nasze miało miejsce w budynku administracyjnym zakładu karnego i trwało zaledwie pół godziny. Klawisz cały czas przeszkadzał w naszej rozmowie, wtrącał się szczególnie wtedy gdy próbowaliśmy mówić o „Solidarności”, czy też o sytuacji na mieście. Najważniejsze, że żona była blisko mnie, co prawda oddzielał nas stół, ale mogliśmy rozmawiać ze sobą, szczególnie o trzech moich małoletnich synkach. Najstarszy Wojtek, liczył sobie wtedy piętnaście lat, średni Maciek miał trzynaście, a najmłodszy Kuba osiem lat. Małżonkę poprosiłem o przywiezienie z domu kolejowego kożucha, na którego wspomnienie robiło się ciepło. Kożuch przywiozła mi żona przy okazji następnych odwiedzin w Nowy Rok. Byłem z tego powodu bardzo szczęśliwy i zadowolony, bo kapota ta była niezbędna i bardzo przydatna w warunkach więziennych. Jak już wspominałem w celi było strasznie zimno, kożuch służył w nocy za kołdrę, a w dzień mogłem chodzić w nim na spacer, bez obawy nawet przed największym mrozem.

Na kolejne wizyty do kryminału, przybywało już wiele żon, matek i dzieci także odwiedziny odbywały się na raty w odstępach godzinnych z uwagi na brak miejsca w pomieszczeniu do tego przeznaczonym. W trakcie rodzinnych spotkań, klawisze już tak nachalnie nie wtrącali się do rozmów i nie utrudniali odwiedzin. Wspólnie z domownikami śpiewaliśmy kolędy i pieśni patriotyczne. Dominował w tym, znany nauczyciel historii z Lublina pan Zygmunt Łupina, który nauczał mojego Wojtka w Liceum im. Jana Zamojskiego. Od tego momentu czas w więzieniu zaczął płynąć szybciej i przyjemniej - od wizyty do wizyty. Następnym razem, małżonka przywiozła na odwiedziny moich synków, za którymi bardzo tęskniłem. Ponieważ było ich trzech, to co tydzień na odwiedziny przyjeżdżał inny.

Podczas jednych odwiedzin, powiadomiła mnie, że zarówno w domu jak i pracy kolejowi ubole przy udziale esbeczki z Komendy Wojewódzkiej w Lublinie przeprowadzili rewizję. Przeszukanie rozpoczęli od apteki w szpitalu kolejowym, w którym żona pracowała. Wyglądało to w ten sposób, że całą aptekę postawili do „pionu”, to znaczy, że personel nie miał prawa się ruszać ze swoich miejsc. Żona natomiast musiała im wskazać swoją szafkę, którą dokładnie przetrzepali nie znajdując tam nic rewelacyjnego. Po tym zapakowali żonę do ubeckiego Fiata i przyjechali do domu, gdzie dopiero zrobili prawdziwy kipisz. Powyrzucali wszystkie rzeczy z szaf i tapczanów, wywalili książki z biblioteki, dobierali się również do szafek w kuchni. Żona po tym najeździe „tatarskim” na dom, musiała przez tydzień robić porządki.

XVIII - PACZKI Z DOMU

Paczki stanowiły zupełnie nowy rozdział w naszej szarej więziennej rzeczywistości. Przesyłano je do nas z naszych domów, przez umyślnych kolegów, którzy pozostali na wolności. Pierwsze z nich dotarły do więzienia jeszcze przed Bożym Narodzeniem. W Lublinie organizowano to ten sposób, że nasze domy odwiedzali specjaliści „kurierzy”, którzy powiadamiali rodziny, aby przygotowały niezbędne paczki, które zostaną przewiezione do Włodawy. W umówionym dniu i godzinie, przychodzili ponownie, żeby je zabrać. Pierwszą partię paczek przywiózł do kryminalu śp. Paweł Drwał, swoją królową szos „Syreną 104”. Jak on przerwał wiele wojennych kordonów po drodze z tym trefnym majdanem, będzie to jego tajemnicą, którą niestety zabrał do grobu.

Jednym z ciekawszych numerów jaki miał miejsce w więzieniu, była sprawa związana z moją paczką, która przyjechała samochodem Drwała. Moja zaradna żona umieściła w niej sieczkę z owsianej słomy. Klawisze, którzy dokładnie badali zawartość paczek, nie mogli uwierzyć w niewinność owsianki. Nie wydawali mi paczki przez kilka dni, ciągle pytając po co mi ta pocięta słoma? Tłumaczyłem im, że jest to najlepsze lekarstwo na moje chore nerki (według Klimuszki), i z tej sieczki będę robił wspaniały wywar do picia. Bebrowali w tej słomie, szukając trefnych materiałów, aż w końcu zwątpili, a paczka wreszcie trafiła do adresata, ku mojemu zadowoleniu i używaniu.

Wtedy mieliśmy takie piękne obrazki przez zakratowane okna, kiedy to, na podwórku było widać jak kryminaliści targają na kocach (we czterech, każdy za swój róg), wyładowane sterty paczek. Zanim one do nas trafiły, musiały być dokładnie przejrzone i oskubane przez naszych opiekunów. Takich transportów było kilka w tygodniu.

XIX - SĄSIEDZKIE WIZYTY

Po pewnym, dość długim czasie pobytu w więzieniu, gdzieś na przełomie stycznia i lutego, pozwolono nam odwiedzać się w celach. Były to wizyty i rewizyty, oczywiście za przyzwoleniem władz zakładu karnego. Do tej pory było tak, że dwóch rodzonych braci, siedzących w różnych celach na tym samym piętrze, aby się spotkać musiało pisać raporty do naczelnika o pozwolenie na to. Jeszcze dziwniejsze było to, że prośby o spotkanie zgodnie z regulaminem pisali obydwaj. Teraz komendant po pozytywnej opinii „światlicowego” w zależności od humoru, zezwalał, albo nie na spotkanie pod nadzorem. Braciszczowie mieszkali: jeden w Lublinie drugi w Szczepieszynie, a spotkali się we Włodawie, w kryminale. Jednego zamknięto trzynastego grudnia we Włodawie, drugiego w Krasnymstawie. Po paru tygodniach starszego przewieziono do Włodawy, gdzie

młodszy brat wypatrył go przez okno na spacerowniku. O ile dobrze pamiętam parę razy odmówiono im spotkania ze względu na dobro sprawy. Do tych braterskich spotkań doszło zaledwie trzy lub cztery razy w ciągu dwóch miesięcy.

Po tym dość trudnym rygorystycznym okresie, nieco popuścili. Od tego czasu, raz w tygodniu mogliśmy się legalnie spotykać w dowolnie wybranych celach, ale w wyznaczonym czasie po kolacji, w ciągu godziny. Po czym wracaliśmy z powrotem do własnych cel, pod klucz.

Z tego okresu najbardziej zapamiętałem, jak pewnego razu byłem w gościnie u chłopaków z Zamościa i oczy stanęły mi w ślup ze zdziwienia, gdy zobaczyłem świeżo wykuty luk komunikacyjny pomiędzy celami. Wybito po prostu dziury w ścianach wzdłuż rur centralnego ogrzewania. Jak oni to zrobili, tego nie wiem. nigdy nie było słyhać żadnych odgłosów kucia murów, mimo że nasze cele znajdowały się prawie po sąsiedzku, dzielił je tylko korytarz. Nie wiadomo kiedy, jak i gdzie wynieśli gruz, którego na pewno było kilka wiader.

I tak się mieszkało w coraz bardziej znośnych warunkach kryminalnych, każdego dnia działo się coś ciekawego a szczególnie przed dniami, w których miała być jakaś zewnętrzna inspekcja. Kontrole te odbywały się dość często, a to z ramienia Centralnego Zakładu Karnego, a to z Episkopatu lub Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Każda taka wizytacja dobrze służyła internowanym, zawsze wynikała z tego jakaś wymierna korzyść. Jednego razu z tej okazji, każda cela otrzymała plastikowe miski do mycia, innym razem otrzymaliśmy doskonały zachodni proszek do prania, pastę do zębów obficie się pieniącą i pachnące mydło.

Podobno po moim wyjściu pootwierano cele na cały dzień, wprost trudno w to uwierzyć, że to prawda, a jednak tak w rzeczywistości było.

XX - POWROTY DO DOMÓW

Pierwsze zwolnienia internowanych rozpoczęły się już w grudniu. Najwcześniej wypuszczono na wolność Jerzego Bartmińskiego z UMCS-u, następnie w odstępie mniej więcej tygodnia wychodzili na wolność ludzie po kilka osób jednocześnie. Na spacerach w dyskusji dominował jeden temat- wyjścia na wolność! Zastanawiano się głośno, czy podpisanie lojalki pomaga w wyjściu z więzienia, czy też nie. Zdania były mocno podzielone, jedni twierdzili że należy ten cyrograf podpisać i wyjść na wolność, inni uważali to wprost za zdradę. Niektórzy podpisali ten zdradziecki kwit i oczekiwali z niecierpliwością na zwolnienie, a wypuszczenia na wolność, jak nie było tak nie było. Wniosek stąd nasuwa się jeden, że podpisanie lojalki nie miało żadnego wpływu na wyjście z kryminału. Wychodzili zarówno ci, co podpisali ten haniebnny kwit jak i ci co go nie

podpisywali. Znam takich co podpisali lojalkę wcześniej, a siedzieli dłużej od tych co nic nie podpisywali.

Trzeba jednak stwierdzić, że esbekom bardzo zależało na tym, abyśmy podpisywali te ohydne dokumenty. Mieli wówczas jakąś gwarancję, że internowani po wyjściu na wolność nie podejmą działań przeciwko obowiązującej sytuacji politycznej w kraju. W razie czego mogli traktować internowanych jako recydywistów. Z drugiej strony biorąc, cóż był wart taki dokument, na którym wymuszono podpis? Tego zdania był również, znakomity prawnik z UMCS-u Zbyszek Hołda .

Ja osobiście miałem szczęście wyjść z kryminału dość wcześnie, bo już w lutym 1982 roku. Wyszedłem w dość licznej jedenastoosobowej grupie. Do dziś nie wiem komu naprawdę mam zawdzięczać to moje zwolnienie, czy Episkopatowi, czy Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi, czy też MSW. Do wszystkich wyżej wymienionych instytucji występowałem zarówno ja, jak i moja małżonka z odpowiednimi zaświadczeniami lekarskimi. Brzydko mówiąc, zostałem zwolniony ze względu na zły stan zdrowia. Do mojego uwolnienia przyznają się również partyjni koledzy z pracy, którzy twierdzą, że morze wódki wypili z wpływowymi wówczas osobami, po to aby mnie zwolniono. Jedno jest pewne, że o wyjściu na wolność zadecydowały moje warunki zdrowotne. Wdzięczny jestem tym wszystkim, którzy się w jakiś sposób do tego przyczynili. W tym miejscu chciałbym schylić czoło przed biskupem lubelskim, który na jednej z odprawianych Mszy Świętych na początku lutego, poinformował mnie o moim rychłym wyjściu na wolność, co też niedługo nastąpiło.

Pierwsza reakcja po wyjściu z kryminału to straszne moje zdziwienie na widok kilku szlabanów po drodze do Lublina -były to pamiątki stanu wojennego. Jadąc PKS - em do domu, w autobusie dokonywane były kontrole, właśnie na tych szlabanach ustawionych przez rycerzy towarzysza Jaruzelskiego. Gdy patrol wojskowy zobaczył jedenastu „zbirów” w autobusie, niegolonych od paru miesięcy, to już nas nie legitymował. Widocznie domyślili się że jesteśmy zwolnionymi internowanymi z Włodawy.

We Włodawie, jak i innych kryminałach, internowani z zasady nie golili się, początkowo z braku przyborów do golenia, potem przyjęliśmy jako formę protestu chodzenie z niegoloną brodą. Ogoliłem się dopiero w czerwcu, kiedy to stałem się podobny do Marksa z powodu długości brody, a na to nie mogłem sobie pozwolić. Niektórzy z kolegów chodzą z brodami do dziś, manifestując w ten sposób swój pobyt w więzieniu.

Po powrocie do domu, zgodnie z poleceniem ekipy, która mnie uwolniła, musiałem się dwa razy w tygodniu meldować na komendzie wojewódzkiej MO przy ulicy Narutowicza. Esbecy udowadniali nam w ten sposób, że mają nad nami władzę i mogą nas dalej przesłuchiwać, podobnie

jak robili to we Włodawie. Wyglądało to nieco groźniej, zamykali nas w pokoju, a sami chodzili na piwo do bufetu. Po powrocie zionęli alkoholem na parę metrów, tak że trudno był wytrzymać, grozili ponownym zamknięciem i trzymali nas tam po parę godzin. Byli naszymi panami w całej okazałości i tak to trwało przez parę miesięcy.

Jednego ze swoich opiekunów miałem nieszczęście spotkać w szpitalu kolejowym, na Oddziale Chirurgiczno-Urazowym, gdzie ordynatorem był współpracownik SB. Spotkałem go zupełnie przypadkowo kiedy to leżałem na sąsiednim Oddziale - Urologii. Wiem że ten ubek Augustowski leżał w osobnej izolatce i na tyle czuł się ważnym, że kazał sobie założyć tam telefon. Polecenie to otrzymał naczelnik służby automatyki, które skwapliwie wykonał. Drugi ubek też leczył się w naszym kolejowym szpitalu. Widocznie esbecy byli przekonani, że jeśli sprawują nadzór nad PKP, to wolno im korzystać z opieki kolejowej służby zdrowia - narażając tym samym nasze przedsiębiorstwo na straty. Blokowali też miejsca w szpitalu dla kolejarzy.